

## DORSZE Z MASSACHUSETTS

Fish on!!!! To chyba najczęściej słyszane hasło wędkarskie towarzyszące wędkarzom podczas połowów na oczywście „taaaaaką.....” rybę. Jest to szczególnie miłe gdy można osobiście wykrzyknąć to nad wodą, dumnie spoglądając na tych wędkarzy, stojących obok, którym do tej pory nie udało się coś godnego „zahaczyć”.

Choroby „wędkarskiej” nabawiłem się jako 9-cio letni chłopak niejako z konieczności. Tak widać pisane mi było w gwiazdach, oglądanych na niejednej nocnej wyprawie wędkarskiej. Urodzony w Sandomierzu, mieście legendzie, cudownie umiejscowionym na wzgórzach, u podnurzy których, tajemniczo spoglądając na miasto, leniwie, od wieków wytyczonym korytem wita go rankiem i żegna wieczorem, królowa polskich rzek, Wisła. A do tego, w domu rodziców w którym się wychowałem, mieszkał pan Chłopicki, umiejący niezwykle ciekawie opowiadać o wędkarstwie. Bardzo często przy tym „majstrował” z niezwykłym pietyzmem przy swoim sprzecie wędkarskim (jakże innym od dzisiejszego, były to lata 50-55). Często pozwalał podotykać i pooglądać swój sprzęt wędkarski, od czasu do czasu do czasu z niego darując na dobry początek. Dla takiego chłopaka, w tym wieku, w tym czasie, nie mogło się to inaczej skończyć.

Oczywiście „wpadłem” w ten nałóg wędkarski jak śliwka w kompot. Nieodwołalnie i nie odwracalnie na całe moje życie. „Na wiegda” jak to mówią sąsiedzi za Bugiem. Bo nie ma chyba większego „nałogu” jak wędkarstwo.

Drogie żonki, szkoda zachodu. Jeszcze nie słyszałem aby się jakiś wędkarz z tego wyleczył. To jest jak narkotyki. Pory dnia, roku, pogoda, nie mają wpływu aby powstrzymać mnie od pójścia nad „wodę”.



I tak zacząłem swoją amatorską przygodę z wędkarstwem która już trwa nieprzerwanie Od 45 lat. 45 lat, wspaniałych wypraw wędkarskich, sukcesów i porażek a przede wszystkim, nieustannego bliskiego kontaktu z przyrodą i kolegami, równie „zaprzedanymi” wędkarstwu na zawsze. Jestem wędkarskim szczęśliwcem, gdyż dane mi było przez los, „ścigać” rybki na różnych kontynentach, w różnych krajach, na wodzie, pod wodą i na lądzie. Pozostały trofea, zdjęcia, przyjaciele, oraz niekiedy fantastycznie realne przygody wędkarskie. I te wspomnienia, spotkania i opowieści których niesposób zapomnieć, niesposób powtórzyć a które tylko czas kiedyś, wymazać niestety zdoła z pamiętnika pamięci. Ale o tym i początkach mojej „wedkarskiej” kariery, postaram się podzielić z czytelnikami w następnych artykułach o ile „Naczelnny” nie wrzuci je do szufladki z napisem „recycling”.

Odkurzam w pamięci rozdział wędkarski „Ameryka”, gdzie 20 czerwca 1984 roku Jumbo-jet, „wyrzucił” mnie ze swojego przepastnego brzuszyska na Lotnisku JFK w Nowym Jorku, po kilkugodzinnym locie z Hiszpani. Parę miesięcy zajęło mi wgryzanie się w tą nową amerykańską rzeczywistość, gdzie wszystko było nieco inne a i wędkarstwo trzeba było niejako poznawać od początku, choć oczywście poprzednie doświadczenie pozwalało szybciej dostosować się do wędkarskiej przygody na amerykańskiej ziemi.

Przeszedłem więc i tutaj kolejne „szczeble” wędkarskiej kariery na rzekach, jeziorach i oceanie. oczątkowe trofea w postaci sunfish, catfish czy małych porgies, blackbass i wszędobylskich okoni rozczarowywały mnie całkowicie. Ale nie zniechęciły. Poznawałem

nowych ludzi, nowe miejsca i na wędkarskim „celowniku” zaczęły się pojawiać takie gatunki jak: carp, bluefish, weakfish, bonito, bass, northern pike, walleye, trout, eel i w końcu wymarzony salmon, stripebass, tuna i cod. Spróbuję opisać moje wędkarskie wyprawy na niektóre z nich, mając nadzieję że w przypływie dobrego humoru, „Naczelnny” coś „przepuści” do druku? Wtedy do szczęścia będzie mi brakowało tylko aprobaty czytelników, a trema jest ogromna.

Złapanie pewnego gatunku ryby marzy mi się nieraz od bardzo długo. I czasem mija



parę lat, kiedy mogę oglądać na zdjęciach mój wymarzony okaz. Tak też było z wyprawą na dorsza którego udało mi się za obopólną niezgodą (ja chciałem ale dorsz niechciał) „wyciągnąć z wody” na pierwszej w tym roku wyprawie wędkarskiej do Bostonu, w stanie Massachusetts. Wielu z nas pamięta chyba te „peerelowskie” wędzone dorsze w sklepach, wszędzie i zawsze bo inne rybki pojawiały się rzadko, chyba że w puszkach. Przed wyjazdem z Polski na stałe w 1984 roku, starałem się pojechać na łowienie dorszy w Bałtyku. Nie było to łatwe, jako, że wędkarstwo morskie, amatorskie z kutrów, dopiero raczkowało. Z

wieku powodów, niestety to mi się nie udało i musiałem to moje marzenie odłożyć na długi okres czasu. Wtedy nie przypuszczałem że upłynie 20 lat zanim moje kolejne marzenie wędkarskie się spełni, ale w innym kraju. Dziwnym zrzędzeniem losu, tu w Ameryce po raz pierwszy zetknąłem się z dorszem w .... „Shoptite”, marząc przy tym aby choć raz mieć go na haku, albo przynajmniej je trochę „postraszyć”.

Minęło znowu parę długich lat w mojej karierze wędkarskiej (a i włos na skroni nieco posiwiął), nim udało mi się zebrać grupę chętnych na wyprawę „na dorsza”. Tak przynajmniej obiecywał kapitan, wysłużonej „łajby” czyli typowego „party boat”, 70-cio stopowego bodajże jednokadłubowca. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem z wybrzeża New Jersey, w „sile” 30-tu doświadczonych i „odgrających” się wędkarzy. Los dorszy był praktycznie przypieczętowany. Dziwne że same zawczasu się „nie poddały”. Teoretycznie to już były w naszych turystycznych lodówkach, gotowe do pływania w oleju na patelni. Po około 3-ch godzinach dotarliśmy na miejsce, a po paru następnych, „połów”, przeszedł nasze najśmielsze....rozczarowanie. Jeden (niestety ale to prawda) dorsz złapany przez mojego syna Konrada, nieodzownego kompana moich ędkarskich wypraw), parę ling-ów oraz dużo, ale za to małych „blackfish”. A i ten jedyny dorsz też „udawał” dorosłego i większego, aniżeli wyglądał. Kapitan jak zwykle był największym optymistą, tłumacząc że dzisiaj było nieźle, ale za to „next time”.....

Do następnego „next time”, potrzebowalem znowu paru lat. Bo nie jest trudno zebrać chętnych zapalcenców, ale jakże trudno przekonać nasze żonki że to sport, rekreacja, hobby zdrowie itd, itd. One to rozumieją oczywiście, ale też wiedzą doskonale, że za 150-200\$ mogą kupić w sklepie dorsza kiedy tylko chcą i „nieco” więcej aniżeli my teoretycznie możemy nałapać. Ale kiedy w lecie, 2002 roku kolega Wojtek Palczewski „doniósł” mi że na wiosnę w Massachusetts złapał Massachusettmmmm dużo dorszy, decyzja została podjęta natychmiast. W przyszłym roku jadę. Toż wiadomość była z „pierwszej ręki”. A Wojtuś fantazjuje nie więcej jak inni wędkarze, w opowieściach których ryba zawsze jest większa po złapaniu i w miarę upływu lat. Dziwne to ale prawdziwe. Nie podejmuję się tego „fenomenu” przyrodniczego, wytłumaczyć. Proszę wierzyć wszystkim wędkarzom na słowo. No może tak nie do końca, trochę z przymrużeniem oka. Ale czy ci zapaleńcy w swych opowiadaniach nie są wspaniali? Czy ktoś lepiej potrafi snuć opowieści o tych olbrzymich rybach które „miały” pecha i się niestety .....zerwały podczas holowania

? Ale za to przedtem zostały fachowym okiem „pomierzone” i pozostały w wędkarskich opowieściach na zawsze.

No, ale skoro brać myśliwska „dzieli skórę na niedzwiedziu”, to dlaczego niby my, wędkarze nie możemy się odrobinę przechwalić?. Toż to cały urok wędkarstwa. Wreszcie na początku kwietnia, tego roku dostaję wiadomość od Wojtka że wyprawa na dorsza „rusza” 11 kwietnia, ale niestety nie ma pełnego składu (6 osób) na drugą łódkę. Na pierwszą niestety się „nie załapałem.” Dzwonię po znajomych przez kilka dni aby zebrać komplet. Niestety, nie ma chętnych (żonki czuwają) i zanosi się że i w tym roku także nie pojedę. Ale w ostatnim momencie, 3 dni przed wyjazdem szczęście uśmiechnęło się do mnie. Kolega Irek zrezygnował, z pierwszego składu odstępując mi miejsce za co ja obiecuję mu dorsza. O ile, no właśnie, o ile da się go wyciągnąć z wody zanim inni tego nie zrobią za mnie. Oczywiście 11-go kwietnia nie popłyneliśmy gdyż pogoda „przesunęła” naszą wyprawę na 15-go kwietnia. Na szczęście do 15-go nie było żadnych niespodzianek i po 5-ciu godzinach jazdy, błędzeniu, o 1-ej w nocy docieramy wreszcie do domu kapitana gdzie mamy nocleg, wliczony w cenę połowu (150\$ na osobę). Po tej samochodowej jeździe, czuję się jak ...wędzony dorsz, gdyż reszta towarzyszy podróży, nieustannie i skutecznie „produkowała” tyle papierosowego dymku, że wystarczyłoby go na „uwędzenie” jeszcze paru niechętnych.

Ze względu na późną porę nie ma już czasu na wędkarskie pogaduszki. O 2 w nocy nareszcie mogę się położyć do łóżka. Ale nie na długo bo o 4-tej już jestem budzony, a o 4:30 wyruszamy do Living Green Harbour w Marshfield k/Bostonu w Massachusetts. Wreszcie przed 5-tą rano czuję pod nogami lekko chwiejący się pokład naszej 35-cio stopowej łajby i jakże przyjazne i znajome z poprzednich wypraw, ciche pomrukiwanie zaspanego także dislowskiego silnika. Pół godziny później opuszczamy port, witani na oceanie Atlantyckim lekką bryzą i 2-3 stopową falą. Jest chłodno, około 35F, więc wciskamy się wszyscy do małej kabiny w oczekiwaniu na hasło kapitana, że można zanurzyć kije. Jest nas 7-miu „wspaniałych”, sam kwiat wędkarski z Oldbridge i okolic w

New Jersey. Kapitan wyjaśnia nam w międzyczasie warunki połowu. Bardzo proste. Dostaniemy wędkę, przynętę oraz kapitański serwis, (mat nie był wzięty na pokład gdyż było nas 7, więc nie było miejsca) w postaci znalezienia ławicy, wyciągania opornych dorszy hakiem z wody, rozplątywania żyłek (doprowadza mnie to do tzw szewskiej pasji) i skrobania ryb. A kapitan Michael Kevin robił to wszystko błyskawicznie i niezwykle sprawnie. Limit 10-ciu ryb na „głowę” lub 600 lb na wszystkie 7 „głów”, wprawił mnie od razu w dobry nastrój, tylko ta niepewność. Jak to zrobić? Czy uda się złapać chociaż jednego?.



Wojtek, stary wyga wędkarski twierdzi, że na pewno jak nie rybę to przynajmniej złapiemy ... katar. Nie zapytałem o wymiar ochronny ale wiedziałem że małych i tak nie będę brał gdyż po wyczyszczeniu takowej w ręku zostaje tylko...ogonek. W drodze na łowisko czas dłuży się niemiłosiernie i nie możemy się doczekać chwili kiedy będziemy mogli zacząć pierwsze dla wielu z nas, wędkowanie na tą wspaniałą rybę. Po godzinie postawił mnie na baczność okrzyk z mostku kapitańskiego: można łapać. Jak na komendę wszyscy razem luzujemy hamuce w kołowrotkach. Czuję jak 16 uncjowy ciężarek szybko ciągnie za sobą kawałek makreli na spotkanie z wymarzoną dorszem. Wyczuwam jak wreszcie osiąga dno, na głębokości około 100-120 stóp. Naprężam lekko żyłkę i staram się ją nie poluzowywać chociaż nie jest to łatwe gdyż nasza łajba nieźle się kołysze na około 2-3 stopowej fali. Jest 7:45 gdy nie będąc pewny brania ryby, na wszelki wypadek podcinam i .....jest!!!!

Od razy krzycze na całe gardło „fish on!!!!”. Już sobie wyobrażam tego mojego wspomnianego pierwszego dorsza który właśnie moją przynętę wybrał sobie na przekąskę. Jednak po paru sekundach zdaję sobie sprawę że to mała ryba, gdyż opór zupełnie ustał. Za chwilę.... o mało nie spalam się ze wstydu, gdyż na końcu haka wisi sobie i bezczelnie łypie okiem ....latająca ryba. Parę minut potem znowu następna. Pomyślałem przez moment że może wsiedliśmy nie na tą łajbę co powinniśmy.?? Nie było wyboru, pozostałem na tej. Ale za chwilę po bardzo delikatnym braniu, prawie niewyczuwalnym, wreszcie 50% szczęścia na haku. Nareszcie po tylu latach, mój pierwszy w życiu dorsz jest już na pokładzie, witany serdecznie przez wszystkich gdyż jest to także pierwszy złapany dzisiaj na naszej łodzi. Ale niestety mały. (dlatego tylko 50% szczęścia) Około 2-3 funtów, toteż wkrótce znajduje się za burtą niezmiernie pewnie zadowolony że udało mu się uciec od kąpieli w oleju na patelni. Ale to się już nie udało następnemu, którego 15 minut później, po spokojnym holowaniu i przy pomocy kapitańskiego haka, udaje mi się ulokować w pojemniku na pokładzie.



Jak się później okazało, był to mój największy dorsz złapany tego dnia. Mierzył 42" (105 cm) ale niestety nie mogłem go zważyć gdyż nie było żadnej wagi na pokładzie.(zdjęcie #1, ten w lewej ręce) Oceniam go na około 18- 20 funtów i cieszę się ogromnie bo chociaż daleko mu do rekordowych okazów, to wreszcie złapałem mojego dorsza którego przymierzałem się tyle lat. A rekordowe dorsze to około 150-180 funtów złapane przez zawodowych rybaków w sieci (choć niezbyt często), natomiast wędkarze zdołali wyciągnąć okazy do 80 funtów !!! W skrzyniach jest już parę ładnych

dorszy (łapiemy do wspólnej puli).

Niestety, przez następne 20-30 minut nie mam żadnych brań a i koledzy też nie mają powodów do radości. Pada komenda z mostku aby wyciągać „kije” z wody i kapitan decyduje się zmienić rejon połowów. Podobno dostał „cynk” przez radio z innej łodzi, gdzie jest dużo dorsza. Po 20 minutach docieramy na miejsce, gdzie już na paru łodziach co rusz jest wyciągany dorsz. Zanoszą się na niezły połów. Ciężarek jest już na dnie, ale efektów żadnych. Nieco głębiej, około 200 stóp a koledzy co chwila wyciągają ładne okazy które z pomocą kapitana lądują na pokładzie. A ja ciągle nie czuję żadnych brań. Gorączkowo analizuję gdzie tkwi błąd i stwierdzam, patrząc na wędkę łowiącego obok mnie Wojtka (skutecznie) że moja ma za sztywną końcówkę na takie warunki (duża fala). Nie pozwala mi to wyczuć brania dorszy, które atakują przynętę bardzo szybko i delikatnie. Ponadto czuję że ciężarek co chwilę jest podrywany do góry a następnie uderza o dno gdyż, na takiej fali trudno go trzymać w pozycji na dnie, przy lekko naprężonej żyłce na kołowrotku. A to zapewne płoszy rybę. Proszę kapitana o wymianę wędki z mięką końcówką. Niestety nie jest to możliwe, gdyż nie ma żadnego zapasowego „kija” na łodzi. Żałuję teraz że nie zabrałem swojej. Decyduję się więc na zmianę sposobu łapania.

Teraz naprężoną żyłkę trzymam na moim palcu (a nie na kołowrotku jak przedtem). Zdecydowana poprawa, bo za każdym razem gdy dorsze nieopatrznie rzucają się na moją przynętę, wyraźnie wyczuwam brania i są kolejne efekty. Do puli



dołożyłem parę kolejnych dorszy. W międzyczasie kapitan w bardzo krótkich odstępach czasu, 2-3 minutowych zmienia pozycję łodzi starając się nie stracić dorszy które ma pod kilem. Dlatego na komendę kapitana: zwiżać, robimy to natychmiast i bez zwlekania aby nie stracić gromady poruszających się za żerem ryb. Następuje teraz okres najlepszych brań, pomiędzy godziną 9 a 10:30. Eldorado!!!! Jesteśmy wszyscy ogromnie podekscytowani i dopiero okrzyk kapitana: „no more fishing, we have limit”, pozwala nam spokojnie popatrzeć na nasze trofea. Jest dopiero 10:45 a my mamy około 600 funtów dorsza w pojemnikach.!!! W najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się że odniesiemy taki sukces. Ja „zaliczyłem” 16 dorszy, z tym że 3 „przedszkolaki” wróciły z powrotem do oceanu.

Było też parę „wystraszonych”, które podczas holowania ich ku powierzchni, zrezygnowały z „pozowania do zdjęć” na pokładzie. Tylko Wojtek złapał więcej ode mnie, ale wcale mi to nie psuje humoru. Nigdy to nie jest dla mnie najważniejsze podczas wędkarskich wypraw. Wojtuś także wygrał pulę za największego dorsza. Pewnie mu się ten dorsz zahaczył przez „przypadek” wędrując za przynętą w kierunku mojego „haka”. Cieszę się ogromnie że ta



wyprawa zakończyła się takim sukcesem i wszyscy mogli pochwalić się ładnymi okazami.

Fotografujemy nasze dorsze aby przyszłe opowieści wędkarskie poprzeć konkretnymi dowodami. Wiem na pewno że będę corocznie przyjeżdżał na dorsza do Massachusetts. Wyprawa na dorsze będzie wpisana do mojego kalendarzyka wędkarskiego na stałe, z dopiskiem „bez względu na pogodę”. Połów nasz wyglądał imponująco. 6 pojemników po 100 funtów każdy.!!! Czyli około 85-90 funtów na wędkarza. Teoretycznie 85-90, bo praktycznie „oczyszczony” dorsz przez kapitana traci na swej wadze 60-70%. Kapitan (pomaga mu też Wojtek)

czyści dorsze w drodze powrotnej do portu, włączając automatycznego pilota na małą prędkość.

Resztki oczyszczanych ryb „wędrują” za burtę gdzie stado rozwrzeszczanych mew wychwytuje je natychmiast, w locie i tylko ciężkie łby, nie zawsze są przez nie złapane. toną w błękitnej głębi gdzie zapewne inne ryby i kraby pozostawia wkrótce tylko białe szkielety na cmentarzysku oceanu. No coż, natura jest bezlitosna w zapewnieniu sobie bytu. Ja (niektórzy koledzy też) decyduję się na zabranie 4 dorszy w całości do domu gdzie prawie 80% ryby jest „zagospodarowana” przez moją wspaniałą żonkę Ewę, która nieopatrznie wyszła za mąż za wędkarza. Dlatego musiała się nauczyć robić różne potrawy, z ryb które udawało mi się czasem złapać. Filety są przeznaczone do smażenia a z głowy i ości będzie wspaniała zupa rybna i galareta, tak dobra że mogłem powiedzieć moim gościom że to z ...kurczaka. Każdy uwierzył!! Powrotna podróż mija nam na robieniu zdjęć oraz,.... no właśnie, jacy ci wędkarze są niepoprawni. Opowieściom o tych największych dorszach które się urwały nie było końca. Dopływamy do portu, w Mansfield gdzie następuje podział „łupów”. Wystarczyło dla wszystkich. Jeszcze tylko wspólne zdjęcie z kapitanem i ...do zobaczenia w następnym roku. Powrotna droga upływa bez szczególnych wrażeń nie licząc „korków” na autostradzie których nie było na ....oceanie. To jest właśnie różnica między prawami natury i cywilizacji. Jestem usatysfakcjonowany że mogę się zrewanżować dorszem Irkowi, który mi odstąpił miejsce na łodzi. A wiem że Irek miał



także ochotę pojechać. Może razem za rok Irku?. Mrożone filety dorsza czekają w lodówce na swoją kolejkę na patelni. A zapewniam że smażony przez moją żonę jest fantastycznie i nieprzyzwoicie pyszny. Oby ich jeszcze dużo i długo nie zabrakło w oceanie ale to już w głównej mierze zależy nie od natury ale od CZŁOWIEKA.. Oby mądrego, wyrozumiałego dla wędkarzy i piękna które nas na codzien otacza. Piękna i uroku przyrody, które nie zawsze człowiek chce zobaczyć i choć odrobinę zachować dla przyszłych pokoleń.

**Józef Kołodziej**

Kwiecień 15, 2003